

NADCHODZI DIABEŁ

GLENN COOPER



Prolog

Rzym, 1139 rok

Zostawił rozchylone zasłony, żeby widzieć nocne niebo, jednak okno wychodziło na zachód, a on musiał patrzeć w kierunku wschodnim.

Palazzo Apostolico Lateranense, jak go nazywali Rzymianie, niewątpliwie był największym i najbardziej imponującym budynkiem, jaki kiedykolwiek widział. Jego ojczystym językiem był irlandzki, całkowicie bezużyteczny w tych okolicach. Potoczna łacina okazała się na tyle wymagająca, że podczas swojego pobytu porozumiewał się z gospodarzami za pomocą kulejącej angielszczyzny. W tej mowie budynek, który stanowił rezydencję papieża, zwano Pałacem Laterańskim.

Odsunął cienki koc i w ciemności po omacku poszukał sandałów. Położył się w swoim prostym mnisim habicie, który nosił pomimo prawa do przywdziewania bardziej wystawnego stroju. Nazywał się Máel Máedóc Ua Morgair, czyli Malachiasz, biskup miasta Down, i przebywał tutaj jako gość papieża Innocentego II.

Miał za sobą długą i trudną wędrówkę, która przywiodła go tu z Irlandii przez dzikie tereny Szkocji, Anglii i Francji. Stracił

w podróży całe lato, a teraz, pod koniec września, w powietrzu wyczuwało się dotkliwe ukłucia chłodu. We Francji na jakiś czas zatrzymał się u szanowanego uczonego Bernarda z Clairvaux, który z pewnością dorównywał mu intelektem. Mimo to udało mu się zwiść Bernarda udawaną pobożnością i szczerością. Zwiódł ich wszystkich.

Cela Malachiasza położona w części sypialnej przeznaczonej dla gości znajdowała się bardzo daleko od wysokich, królewskich pokoi papieża. Przebywał w Rzymie od dwóch tygodni, lecz tylko dwukrotnie widział staruszka: najpierw podczas pośpiesznej audiencji w jego prywatnych komnatach, a następnie, gdy dołączył do grupy wizytującej osobisty papieski projekt – odbudowę jego ulubionej świątyni, starożytnej Bazyliki Najświętszej Maryi Panny na Zatybrzu. Kto wie, ile czasu upłynie, zanim ponownie zostanie wezwany przed jego oblicze i będzie mógł się zająć główną sprawą, z którą tu przybył – upraszaniem Innocentego o przyznanie paliuszy metropolitom w Armagh i Cashel. Jednak to było nieistotne. Najważniejsze, że udało mu się znaleźć w Rzymie dwudziestego czwartego dnia września roku 1139 i zbliżała się północ.

Malachiasz ostrożnie skradał się długimi, pozbawionymi zdobień korytarzami, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do ciemności. Wyobrażał sobie, że jest pełnązającym nocnym stworzeniem, które w ciszy sunie przez uśpiony pałac.

Nie mają pojęcia, kim jestem.

Nie mają pojęcia, czym jestem.

I pomyśleć, że połknęli mnie w całości i pozwolili mi zamieszkać w ich własnym brzuchu!

Dotarł do schodów prowadzących na dach. Już wcześniej je widział, ale nigdy z nich nie skorzystał. Miał nadzieję, że uda mu się bez przeszkód wydostać na nocne powietrze.

Gdy już nie mógł się wyżej wspinać, otworzył żelazną zasuwę, po czym zaczął pchać ramieniem ciężką klapę, dopóki ta nie ustąpiła. Dach był na tyle stromy, że Malachiasz musiał bardzo ostrożnie stąpać, aby nie stracić równowagi. Dla bezpieczeństwa zdjął sandały. Dachówki były zimne i gładkie. Nie śmiał zerknąć na wschodnie niebo, póki nie przywarł plecami do najbliższego komina i nie zaparł się piętami.

Dopiero wtedy nakarmił oczy widokiem niebios.

Bezchmurny czarny firmament ponad potężnym śpiącym Rzymem był doskonały pod każdym względem. Zgodnie z przewidywaniami Malachiasza rozpoczęło się zaćmienie Księżyca.

Przez lata studiował wykresy.

Tak samo jak dawni wielcy astrologowie, na przykład Barbillus w starożytnym Rzymie, Malachiasz był mistrzem niebios, jednak wątpił, by którykolwiek z jego poprzedników stał przed taką szansą. Cóż to by była za katastrofa, gdyby niebo okazało się zachmurzone.

Musi na własne oczy widzieć Księżyc!

W tej samej chwili, w której policzy gwiazdy!

Całkowite zaćmienia Księżyca i tak należały do rzadkości, lecz czy kiedykolwiek zdarzyło się równie wyjątkowe?

Tej nocy Księżyc był w znaku Ryb, ich świętej konstelacji.

Poza tym właśnie zakończył swój dziewiętnastoletni cykl i ponownie przeciął płaszczyznę ekliptyki Słońca w południowym węźle, punkcie największego przeciwieństwa, który astrologowie nazywali Ogonem Diabła.

Taki niebiański układ zapewne nigdy wcześniej nie miał miejsca i prawdopodobnie nigdy się nie powtórzy! To noc pełna cudownych zwiastunów. Noc, gdy taki człowiek jak Malachiasz może uczynić potężne proroctwo.

Teraz mógł tylko czekać.

Minie niemal godzina, zanim złocisty księżyc pogrąży się w czerni, a niewidzialny olbrzym pożre jego krąg.

Kiedy ta chwila nadejdzie, Malachiasz musi być gotowy, a jego umysłu nie może nic rozpraszać. Nieco doskwierał mu pełny pęcherz, więc podciągnął habit i sobie ulżył, z rozbawieniem patrząc, jak strumień moczu spływa po dachu do papieskiego ogrodu. Szkoda, że ten stary drań tam nie stoi i nie patrzy w górę z otwartymi ustami.

Zaćmienie pochłonęło jedną czwartą Księżyca, potem połowę, następnie trzy czwarte. Malachiasz prawie nie czuł nocnego chłodu. Gdy zniknęła resztką księżycowego blasku, nagle pojawiła się gruba bursztynowa umbra. A potem Malachiasz ujrzał to, na co czekał. Przez umbrę przeświecały jasne gwiazdy. Nie kilka, ale też nie za wiele.

Będzie miał dosyć czasu, żeby je policzyć, a także sprawdzić rachunek, zanim umbra zniknie.

Dziesięć.

Pięćdziesiąt.

Osiemdziesiąt.

Sto.

Sto dwanaście!

Odnutował tę liczbę w myślach i ponownie porachował gwiazdy.

Tak, sto dwanaście.

Zaćmienie zaczęło się cofać i umbra zniknęła.

Malachiasz ostrożnie zszedł do kłapy, po czym schodami wrócił do korytarza i do swojej celi, nie chcąc tracić ani chwili.

Zapalił grubą świecę i zanurzył pióro w kałamarzu z inkaustem. Zaczął pisać, najszybciej jak potrafił. Będzie pisał przez całą noc, aż do świtu. Widział to wyraźnie, równie

wyraźnie jak gwiazdy jasno odcisnięte w jego umyśle.

Właśnie tutaj: w Pałacu Laterańskim, w Rzymie, mateczniku chrześcijaństwa, domu swojego wielkiego wroga i wroga jego ludu, Malachiasz miał wyraźną i pewną wizję tego, co nastąpi.

Będzie jeszcze stu dwunastu papieży, zanim nadejdzie kres Kościoła. A także kres świata, jaki wszyscy znają.

1

Rzym, 2000 rok

– Czego chce K? – spytał mężczyzna. Siedział i nerwowo bębnił grubymi palcami w drewniane poręczce fotela.

Chociaż połączenie przerwano, drugi mężczyzna wciąż trzymał słuchawkę w dłoni. Odłożył ją na widełki, po czym zaczekał, aż autobus miejski przejedzie pod ich otwartym oknem, a jego irytujący warkot ucichnie.

– Chce, żebyśmy ją zabili.

– Więc to zrobimy. Wiemy, gdzie mieszka. Wiemy, gdzie pracuje.

– Chce, żebyśmy to zrobili dzisiaj wieczorem.

Siedzący mężczyzna zapalił papierosa złotą zapalniczką. Widniała na niej inskrypcja: DLA ALDA OD K.

– Wolę mieć więcej czasu na planowanie.

– Oczywiście. Ja także.

– Nie słyszałem, żebyś protestował.

– To nie był jeden z jego ludzi, ale K we własnej osobie!

Mężczyzna w fotelu pochylił się zaskoczony i wydmuchnął obłok dymu, który odpłynął i zmieszał się z unoszącymi się w powietrzu spalinami.

- Zadzwoił do ciebie osobiście?
- Nie domyśliłeś się po tym, jak rozmawiałem?

Siedzący mężczyzna zaciągnął się papierosem tak głęboko, że dym spenetrował najgłębsze zakamarki jego płuc. Potem go wydmuchnął.

- Zatem ona dzisiaj umrze.

. . .

Elisabettę Celestino zaszokowały jej własne łzy. Kiedy ostatnio płakała?

Napływ cierpkich wspomnień przyniósł odpowiedź.

Po śmierci matki. W szpitalu, podczas czuwania przy zwłokach, podczas pogrzebu i jeszcze przez wiele dni, dopóki modlitwa nie powstrzymała łez. Mimo że była wtedy młodą dziewczyną, wzbudzały w niej obrzydzenie wilgotne oczy, ślady łez na policzkach, paskudnie falująca pierś oraz brak kontroli nad własnym ciałem, dlatego postanowiła raz na zawsze uwolnić się od takich wybuchów.

Lecz teraz Elisabetta czuła w oczach ukłucia słonych łez, i była na siebie wściekła. Nie mogło być żadnego porównania pomiędzy odejściem jej matki a e-mailem, którego otrzymała od profesora De Stefano.

Mimo wszystko postanowiła się z nim spotkać, przekonać go do zmiany zdania i odwrócić bieg wydarzeń. W panteonie Università Degli Studi di Roma De Stefano był bogiem, ona zaś marną doktorantką zanoszącą pokorne prośby. Od dzieciństwa nie brakowało jej jednak charakteru i determinacji, dzięki którym często udawało jej się osiągać cel poprzez zasypanie przeciwnika gradem rzeczowych argumentów i dobicie go kilkoma przeszywającymi pociskami intelektu. Przez lata pokonała wielu dyskutantów – przyjaciół, nauczycieli, a raz

czy dwa nawet swojego genialnego ojca.

Czekając przed gabinetem De Stefana na Wydziale Archeologii i Starożytności, wewnątrz bezdusznego, wybudowanego w faszystowskim stylu gmachu Nauk Humanistycznych, Elisabetta próbowała się uspokoić. Było już ciemno i wyjątkowo zimno jak na tę porę roku. Kotły nie grzały, więc okryła gołe nogi płaszczem. Wzdłuż pustego korytarza stały pozamykane na klucz oszklone regały z książkami. Fluorescencyjne lampy na suficie rzucały biały pasek światła na podłogę wyłożoną szarymi płytkami. Tylko jedne drzwi były otwarte. Prowadziły do zagraconego gabinetu, który Elisabetta dzieliła z trojgiem innych doktorantów, jednak nie chciała tam czekać. Zależało jej na tym, żeby De Stefano zobaczył ją od razu, gdy wyłoni się zza rogu, dlatego siedziała na jednej z ławek, na których studenci czekali na swoich wykładowców.

Nie śpieszył się. Prawie zawsze się spóźniał. Nie była pewna, czy w ten sposób starał się udowodnić swoją pozycję, czy po prostu był roztargniony, jednak zawsze grzecznie przeproszał za niepunktualność. Kiedy w końcu nadszedł korytarzem, wyrzucił z siebie potok *mea culpa*, po czym szybko otworzył swój gabinet.

– Siadaj, proszę – rzekł. – Nie mogłem przyjść wcześniej. Przedłużyło mi się zebranie, a są straszliwe korki.

– Rozumiem – odparła Elisabetta gładko. – Miło z pana strony, że jednak postanowił pan dzisiaj wrócić, żeby się ze mną spotkać.

– Tak, oczywiście. Wiem, że jesteś niezadowolona. To trudna sytuacja, ale uważam, że płyną z niej ważne lekcje, które w dłuższej perspektywie korzystnie wpłyną na twoją karierę.

De Stefano powiesił płaszcz i opadł na fotel przy biurku.

Elisabetta wielokrotnie powtarzała w myślach swoją przemowę, i teraz scena należała do niej.

– Ale, panie profesorze, nie rozumiem jednego. Wspierał pan moją pracę od chwili, gdy pokazałam panu pierwsze zdjęcia z katakumb Świątego Kaliksta. Wybrał się pan tam razem ze mną, żeby zobaczyć zniszczenia spowodowane zapadnięciem się ziemi, zburzony mur, ceglana konstrukcję z pierwszego wieku, symbole na tynku. Przyznał pan, że są wyjątkowe w całych katakumbach, a takich astrologicznych symboli nigdy wcześniej nie odkryto. Wspierał pan moje badania. Moje publikacje. Potrzebę dalszego prowadzenia wykopalisk. Co się stało?

De Stefano pomasaował się po krótko ostrzyżonych włosach.

– Elisabetto, przecież znasz protokół. Pieczęć nad katakumbami sprawuje Papieska Komisja Archeologii Sakralnej. Jestem jej członkiem. Komisja musi zatwierdzić każdy tekst przeznaczony do publikacji. Niestety, twoja praca została odrzucona, podobnie jak wniosek o finansowanie dalszych prac wykopaliskowych. Ale są też dobre wieści. Zyskałaś popularność. Nikt nie zakwestionował twoich osiągnięć naukowych. To może ci tylko pomóc, lecz musisz być cierpliwa.

Odchyliła się do tyłu na krześle, czując, że policzki czerwienieją jej ze złości.

– Dlaczego odrzucono mój tekst? Nie powiedział mi pan, jakie były powody.

– Dziś po południu rozmawiałem z arcybiskupem Luongiem i zadałem mu to samo pytanie. Według niego uznano, że tekst zawiera zbyt wiele spekulacji, a publiczne ujawnienie znalezisk wymaga dalszych badań i analizy kontekstowej.

– Czy to nie jest argument za rozszerzeniem terenu badań na zachód? Oboje jesteśmy przekonani, że zapadnięcie się

ziemi odsłoniło kolumbarium z czasów wczesnego imperium. Wyjątkowe symbole wskazują na dotychczas nieznaną sektę. Nawet skromny grant pozwoli mi poczynić niezwykle postępy.

– Komisja nie bierze tego pod uwagę. Nie zamierzają poprzeć rozszerzenia wykopalisk poza znane granice katakumb. Troszczą się o architektoniczną stabilność całego terenu. Wykopaliska mogłyby doprowadzić do kolejnych przypadków osunięcia się ziemi, a efekt domina sprowadziłby katastrofę na samo serce katakumb Świętego Kaliksta. Decyzja pochodzi od samego kardynała Giaccone.

– Potrafię bezpiecznie przeprowadzić badania! Konsultowałam się z inżynierami. Poza tym znalezisko dotyczy czasów przedchrześcijańskich! To w ogóle nie powinna być decyzja Watykanu.

– Kto jak kto, ale ty nie powinnaś się wykazywać naiwnością w tej sprawie – zachichotał De Stefano. – Dobrze wiesz, że cały kompleks znajduje się pod jurysdykcją Komisji.

– Ależ, panie profesorze, przecież pan do niej należy. Czy pański głos nic nie znaczy?

– Musiałem się wycofać jako współautor spornego tekstu, więc nie miałem nic do powiedzenia.

Elisabetta ze smutkiem pokręciła głową.

– Więc to już koniec? Nie możemy się odwołać?

De Stefano w odpowiedzi bezradnie rozłożył ręce.

– To miała być moja praca doktorska. Co teraz? Zawiesiłam wszystkie inne projekty i w pełni skupiłam się na rzymskiej astrologii. Poświęciłam temu tematowi ponad rok. Odpowiedzi na moje pytania znajdują się za jedną gipsową ścianą.

De Stefano wziął głęboki oddech, jakby przygotowywał się do powiedzenia czegoś ważnego. Gdy w końcu to zrobił, Elisabetta zaniemówiła.

– Muszę wyznać ci coś jeszcze, Elisabetto. Wiem, że uznasz to za uciążliwe, i z góry przepraszam, ale wkrótce opuszczę uniwersytet. Zaproponowano mi ważne stanowisko w Komisji. Mam zostać jej pierwszym świeckim wiceprezesem. Dla mnie to spełnienie marzeń, a zresztą mam już dosyć bzdur, z którymi muszę się zmagać na uczelni. Porozmawiam z profesorem Rinaldim. Sądzę, że dobrze się sprawdzi w roli twojego doradcy. Wiem, że jest dosyć zajęty, ale przekonam go, żeby przyjął cię pod swoje skrzydła. Poradzisz sobie.

Elisabetta popatrzyła na jego zawstydzoną twarz i uznała, że nie pozostało nic więcej do powiedzenia, więc tylko wyszeptła:

– Jezu Chryste.

Godzinę później siedziała przy swoim biurku z dłońmi złożonymi na kolanach. Wyglądała przez czarne okno na pusty parking na tyłach Wydziału Literatury i Filozofii, zwrócona plecami do drzwi.

Zakradli się do jej gabinetu niezauważeni, stąpając bezszelestnie na kauczukowych podeszwach.

Wstrzymywali oddech, żeby nie usłyszała, jak wypuszczają powietrze nosem.

Jeden z nich wyciągnął rękę.

Nagle na jej ramieniu spoczęła dłoń.

Elisabetta wydała z siebie krótki okrzyk.

– Hej, piękna! Wystraszyliśmy cię?

Obróciła krzesło, nie wiedząc, czy ma czuć ulgę, czy wściekłość na widok dwóch policjantów w mundurach.

– Marco! Ty prosiaku!

Oczywiście wcale nie był prosiakiem – jej Marco był wysoki i przystojny.

– Nie gniewaj się na mnie. To był pomysł Zaza.

Zazo podskoczył jak mały chłopiec, rozradowany tym, że

udał mu się żart, a skórzana kabura pacnęła go w udo. Od wczesnego dzieciństwa uwielbiał straszyć siostrę i sprawiać, żeby piszcziała. Wciąż coś knuł, wieczny kawalarz i gaduła, do którego na dobre przyłgnęło chłopięce przezwisko Zazo, czyli „bądź cicho”.

– Dziękuję, Zazo – rzekła sarkastycznie. – Właśnie tego dzisiaj potrzebowałam.

– Źle poszło? – spytał Marco.

– Fatalnie – mruknęła Elisabetta. – To była katastrofa.

– Opowiesz mi przy kolacji – zaproponował Marco.

– Skończyliście służbę?

– On tak – odparł Zazo. – Ja wyrabiam nadgodziny. Nie mam dziewczyny, która by mnie nakarmiła.

– Gdybyś miał, byłoby mi jej żal – odrzekła Elisabetta.

Po wyjściu z budynku osłonili się przed ostrym wiatrem. Marco zapiął cywilny płaszcz, ukrywając wykrochmaloną błękitną koszulę i biały pas z pistoletem. Po służbie nie chciał wyglądać jak gliniarz, zwłaszcza na terenie uniwersytetu. Zazowi było wszystko jedno. Ich siostra Micaela często mawiała, że tak bardzo podoba mu się bycie w *Polizii*, że zapewne śpi w mundurze.

Na zewnątrz wszystko poruszało się i łopotało na wietrze, oprócz potężnej brązowej rzeźby przedstawiającej Minerwę, dziewczącą boginię mądrości, górującą nad lustrzaną sadzawką rozświetloną blaskiem księżyca.

Obok schodów stał radiowóz Zaza.

– Mogę was podwieźć – zaproponował, siadając za kierownicą.

– Przejdziemy się – odparła Elisabetta. – Chętnie się przewietrzę.

– Jak chcecie – odrzekł jej brat. – Zobaczymy się u taty w

niedzielę?

– Po kościele.

– Pozdrów ode mnie Boga – odpowiedział Zazo wesoło. – Będę wtedy w łóżku. *Ciao*.

Elisabetta dwukrotnie owinęła się szalem i ruszyła pod rękę z Markiem w stronę swojego mieszkania przy via Lucca. Zazwyczaj o dziewiątej wieczorem teren uczelni tętnił życiem, jednak tym razem nagłe ochłodzenie wszystkich zaskoczyło, więc było niewielu przechodniów.

Mieszkanie Elisabetty, oddalone zaledwie o dziesięć minut, mieściło się w skromnym budynku bez windy. Dzieliła je z lekarką ortopedą, która dużo czasu spędzała w pracy. Marco mieszkał z rodzicami, podobnie jak Zazo, który wciąż zajmował swój dziecięcy pokój, jak przerośnięty bachor. Żadne z nich nie zarabiało wystarczająco dobrze, żeby wynająć samodzielne mieszkanie, chociaż wciąż obiecywali sobie, że po kolejnym awansie zamieszkają razem. Na razie, jeśli chcieli pobyc w dwoje, musieli iść do Elisabetty.

– Przykro mi, że miałaś kiepski dzień.

– Nawet nie wiesz, jak kiepski.

– Cokolwiek się stało, poradzisz sobie.

Elisabetta parsknęła.

– Nie udało ci się zmienić jego decyzji?

– Nie.

– Chcesz, żebym zastrzelił tego starego capa?

Roześmiała się.

– Wystarczy, jeśli lekko go zranisz.

Mieli czerwone światło, ale i tak przebiegli przez szeroką vialę Regina Elena.

– Co dzisiaj robi Cristina? – spytał Marco, gdy znaleźli się po drugiej stronie.

– Jest w szpitalu. Ma całodobową zmianę.

– Dobrze. Chcesz, żebym został na noc?

Ścisnęła jego dłoń.

– Pewnie, że tak.

– Musimy coś kupić?

– Przyrządzimy coś z tego, co mam. Możemy wracać do domu.

Przy via Ippocrate rozciągała się studencka dzielnica. W ciepłe wieczory tłumy młodych ludzi paliły papierosy w kawiarenkach i szperały w sklepikach, ale teraz okolica była niemal wyludniona.

Elisabetta czasami czuła się nieswojo, gdy podczas samotnych późnych powrotów docierała do słabo oświetlonego fragmentu ulicy biegnącego pomiędzy betonową ścianą pokrytą graffiti a ukośnym parkingiem. Jednak w towarzystwie Marca niczego się nie bała. Nie mogło jej spotkać nic złego, gdy on był przy jej boku.

Przed nimi stała budka telefoniczna. Zajmował ją wysoki mężczyzna. Czubek jego papierosa rozżarzał się jasno z każdym zaciągnięciem.

Elisabetta usłyszała za sobą szybkie kroki i nagle Marco dziwnie stęknął, po czym puścił jej dłoń.

Wysoki mężczyzna z budki błyskawicznie się do nich zbliżał.

Wtem czyjaś ciężka ręka objęła Elisabettę od tyłu na wysokości piersi, a gdy kobieta próbowała się obrócić, ręka przesunęła się na jej szyję i ją unieruchomiła. Mężczyzna z budki był już prawie przy niej. W rękę trzymał nóż.

Rozległ się strzał, tak głośny, że napaść przestała przypominać sen.

Napastnik puścił Elisabettę, która obróciła się i zobaczyła, jak Marco z trudem podnosi służbowy pistolet, żeby ponownie

wystrzelić. Mężczyzna, który ją chwycił, zwrócił się w stronę policjanta. Widziała krew płynącą z jego ramienia na płaszcz z wielbłądziej wełny.

Mężczyzna z budki telefonicznej bez słowa minął Elisabetkę, uznając ją za niegroźną, po czym razem ze swoim kompanem rzucili się na Marca i zaczęli go rytmicznie okładać pięściami.

– Nie! – wrzasnęła Elisabetta i chwyciła jednego z napastników za ramię, próbując ratować Marcowi życie, ale wysoki mężczyzna odepchnął ją ręką, w której trzymał nóż. Poczowała, że ostrze rozcina jej dłoń.

Ponowili atak, a Elisabetta tym razem chwyciła wysokiego mężczyznę za nogi, usiłując go odciągnąć od ciała Marca. Coś ustąpiło, ale były to tylko jego spodnie, które zaczęły się zsuwać z bioder.

Napastnik wyprostował się i brutalnie uderzył Elisabetkę w twarz przedramieniem.

Upadła na chodnik, widząc krew – krew Marca – płynącą w jej stronę. Zobaczyła, jak mężczyzna, którego Marco postrzelił, kuca, opierając się pośladkami o pięty, i ciężko dyszy pod zaplamionym płaszczem.

W oddali rozległy się krzyki. Ktoś wołał z wysoko położonego balkonu oddalonego o pół przecznicy.

Mężczyzna z budki telefonicznej podszedł i uklęknął obok Elisabetty. Miał twarz pozbawioną wyrazu. Uniósł nad głowę dłoń z nożem.

Rozległ się kolejny okrzyk, tym razem bliżej.

– Hej!

Mężczyzna obrócił się w stronę wołającej osoby.

Zanim ponownie skierował uwagę na Elisabetkę i uderzył ją pięścią w klatkę piersiową, pozbawiając przytomności, kobieta zauważyła dziwny, niepokojący szczegół.

Nie miała pewności – ani teraz, ani nigdy potem – ale wydawało się jej, że coś sterczy z pleców napastnika, tuż ponad krawędzią opuszczonych spodni.

To było coś nie na miejscu, coś grubego, mięsistego i odrażającego, co wyłaniało się z gęstwiny małych czarnych tatuaży.